

Paweł Wakuła



**SMOKI,
WYOBRAŹNI**

*Dla Tosi z miłością
– tata*

Paweł Wakuła
Smoki wyobraźni

© by Paweł Wakuła
© by Wydawnictwo Literatura

Ilustracje: Piotr Fąfrowicz
Okładka: Elżbieta Chojna
Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
ISBN 978-83-7672-513-0

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

PROLOG

– **C**zy wierzy pan w smoki?
*Nieznajomy zadał mi to pytanie i odłożył czytany brulion na kolana.
Gdybym wiedział, do czego zmierza to naiwne pytanie, pewnie natych-
miast wyszedłbym z przedziału, może nawet z pociągu.
Ale tego nie zrobiłem.
Cóż, zacznę jeszcze raz, od początku.
Uwielbiam kolej. Niespieszny rytm podróży, mantra stukotu kół, widoki
pojawiające się na chwilę za oknem, aby zaraz zniknąć niczym metafora
mijającego życia – wszystko to ma w sobie nieodparty powab.
Taka leniwa podróż nastraja mnie refleksyjnie. Czuję się bezpiecznie
skryty za pancierzem, którego nie jest w stanie przebić chaos i zgiełk codzien-
ności. Zapadam się w siebie. To miłe, kojące uczucie – niby dokąś zmie-
rzam, a przecież wciąż pozostaję w tym samym miejscu. Nazywam je kie-
szenią w czasie.
Niestety w przyjemność tę trzeba wliczyć ryzyko spotkania z natrętnym
współtowarzystwem podróży.
Pół biedy, gdy ze smakiem, pochrząkując, chrzęszcząc i mlaszcząc, za-
jada wysupltane z przepastnej torby kanapki, jaja na twardo i pomidory
– niechby nawet karmitł nimi rozwydrzoną, wiercącą się latorośl. Odgło-
sy ucztę, szelest śniadaniowego papieru, klapsy wymierzane niesforenemu
dziecku – od tego wszystkiego można się jakoś odciąć. Wystarczy dobra lek-
tura lub nawet symulowany sen. Można nasunąć kapelusz na oczy albo wtulić się głębiej w kołnierz płaszcza. W istocie taki pasażer, choć przykry, nie stanowi wielkiego zagrożenia.
Prawdziwe przekleństwo – to gadacz.*

Gadacz za wszelką cenę chce się z nami podzielić informacją o stanie swoich migdałków, problemach z teściową, poglądem na bieżącą politykę. Od gadacza nie ma ucieczki.

Dlatego gdy mój towarzysz spytał: „Czy wierzy pan w smoki?” – z żalem oderwałem wzrok od szyby, za którą rozpościerał się wyjątkowo sielski widok, i niechętnie przyjrzałem się natrętowi.

Na oko miał nie więcej niż czterdzieści pięć lat, był mojego wzrostu, choć sporo tęższy – właśnie tęgi, nie gruby. Cała jego sylwetka znamionowała niepospolitą siłę.

Ubrany był z angielska w sztuczkowe spodnie i tweedową marynarkę, pod szyją zawiązał barwny fular. Siedział naprzeciw mnie tyłem do kierunku jazdy i patrzył mi prosto w oczy.

Zaprzagnąłem wytrzymać to spojrzenie i przy okazji rzucić mu własne – jedno z tych, które zbędną rozmowę ucinają w zarodku, ale z jakiegoś powodu było mi trudno. Coś w twarzy nieznanego wykluczało taką ewentualność.

Zamiast tego spuściłem wzrok, aby lepiej przyjrzeć się trzymanej przez niego bambusowej lasce. Nieznajomy oparł ciężką dłoń na srebrnej główce, misternie wyrzeźbionej w kształt smoczego łba.

Skinąłem głową i spytałem:

– Czy o takiego smoka panu chodzi? A może raczej o dinozaura?

Pasażer uśmiechnął się szeroko, a mnie wydało się nagle, że ma zbyt wiele zębów.

– Dinozaury wyginęły – odparł. – Czy nie tak?

Wzruszyłem ramionami.

– Być może, choć są tacy, którzy twierdzą, że współczesne ptaki...

Przerwał mi zdecydowanym ruchem ręki.

– Nie, nie o to mi chodzi. Czy wierzy pan w smoki? Prawdziwe smoki, jak ten, którego pokonał święty Jerzy.

– Przecież to bajka – zauważyłem.

– Dla jednych zaledwie bajka, dla innych legenda – odparł filozoficznie.

– Dostrzega pan różnicę?

– Doprawdy, nie wiem, co ma pan na myśli – mruknąłem niechętnie.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie jestem zbyt religijny. W każdym razie święty Jerzy... ale też każdy inny święty – wydaje mi się postacią równie mityczną jak... smok!

Poczyniłem to wyznanie i przekonany, że właśnie weszliśmy na grunt zbyt intymny, aby ktokolwiek dobrze wychowany mógł kontynuować tę rozmowę, odwróciłem twarz do okna.

On jednak zaśmiał się (znowu wydało mi się, że ma zbyt wiele zębów, przysiągłbym, że przez moment widziałem ósemki, a może nawet dziewiątki) i kontynuował:

– A to dobre! Więc w świętego Jerzego również pan nie wierzy? Prawdziwy niedowiarek z pana!

Milczałem.

– A gdybym panu powiedział, że zaatakował od tyłu, zupełnie nie rycersko?

– Kto? – spytałem, nim zdołałem ugryźć się w język.

– Jerzy, oczywiście. Niezły był z niego łobuz. To prawdziwy skandal, że ktoś taki jak on zażywa opinii świętego. Równie dobrze Kościół katolicki mógłby kanonizować Kubę Rozpruwacza. W końcu on też był pospolitym mordercą, choć, między nami mówiąc – smokiem – nieznanomy pochylił się w moim kierunku. – Myśli pan, że ktoś taki jak Kuba Rozpruwacz mógłby zostać świętym?

Nie odpowiedziałem. Przez głowę przemknęła mi straszna myśl: Oto siedzę zamknięty w przedziale z szaleńcem. Za chwilę wyciągnie on ze swojej bambusowej laski śmiercionośne ostrze i przysypili mnie do oparcia ławki jak motyla do poduszeczki. Będzie dźgał wiele razy, a potem palcem unurzonym we krwi napisze na ścianie ostrzeżenie: „Uwierz w ssssmoka!”

Pasażer chyba zauważył dziwny wyraz na mojej twarzy, bo uśmiechnął się leciutko, jakby nie chciał przerazić mnie widokiem swych zbyt licznych zębów, i stuknął palcem w trzymaną na kolanach niebieski brulion.

– Wszystko jest tu opisane. Przypadek świętego Jerzego także.

Powiew nadziei wysuszył kroplę zimnego potu spływającą po mojej skroni.

– Opisane? A zatem... jest pan pisarzem?

– Oczywiście, że jestem pisarzem! A pan myślał, że kim? Władem Pałownikiem? – mrugnął do mnie wesoło. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Pukis Aitvaras. Dla przyjaciół po prostu Pukis – skłonił się, leciutko unosząc z kanapy. – Mam nadzieję, że pana nie przestraszyłem?

– Och, nie – skłamałem. – Nieczęsto spotyka się w pociągu prawdziwego pisarza. Cóż to za książka?

Aitvaras odwrócił manuskrypt w moją stronę. Na okładce zeszytu widniał nabazgrany zamaszystym charakterem pisma tytuł: Smoki Wyobraźni.

– To bajki? – spytałem.

– Można tak powiedzieć. Zechce pan zerknąć? Będę wdzięczny za każdą uwagę.

– Naturalnie, będzie mi bardzo miło – odparłem. A w duchu dodałem: Zawsze to lepsze niż rozmowa.

Wyciągnąłem rękę po książkę, ale mój towarzysz nagle cofnął dłoń trzymającą rękopis.

– Jest pan pewien? Ta książka naprawdę wciąga. Jeśli zacznie pan ją czytać, nie będzie odwrotu!

– Boi się pan, że przegapię stację? To wykluczone, jadę do samego końca.

– Ja się niczego nie boję – odpowiedział. – Ja tylko ostrzegam. Ta książka może pana zmienić!

– W smoka? – zażartowałem. – To niemożliwe, nie lubię dziewic i baraniny!

Pukis Aitvaras roześmiał się na całe gardło i bez dalszych ceregieli wręczył mi wolumin. Zacząłem czytać.

WALENTY

Smok Walenty należał do smoków nadzwyczaj ognistych, co zdarza się często, a przy tym akuratnych i dobrze wychowanych, co zdarza się o wiele rzadziej.

Zawsze pierwszy mówił „dzień dobry” i na ulicy z daleka kłaniał się kapeluszem swoim znajomym.

Bez względu na pogodę nosił starannie wyprasowany tużurek, wykrochmalony kołnierzyk i czarny parasol. O tym, że zawsze miał wypastowane buty, nawet wspominać nie warto – to się rozumie samo przez się.

Każdego ranka punktualnie o szóstej trzydzieści trzy Walenty udawał się do pracy w bardzo ważnym ministerstwie – wielkim, szarym gmachu pełnym zimnych pokoi i korytarzy, po których hulał wiatr.

Praca Walentego była równie odpowiedzialna jak on sam.

W swoich ostrych zębach Walenty mełł i darł na strzępy ściśle tajne raporty i analizy, żeby nie dostały się w niepowołane ręce. Potem pakował je w worki na śmieci i wynosił do kotłowni.

Z nastaniem mrozów Walenty schodził do kotłowni i dokończył dzieła zniszczenia. Umieszczał worki w piecu od centralnego ogrzewania i dmuchał ogniem, ile tylko miał sił w płucach. Dzięki temu nawet w najmroźniejsze dni panu ministrowi i jego urzędnikom nie grzały z zimna paluszki i mogli przystawiać pieczątki w bardzo ważnych dokumentach.

Pewnego razu Walentego wezwał przed swe oblicze sam pan minister.

– Widzę, że świetnie sobie pan radzi w moim resorcie. Jeśli będzie pan się tak dalej sprawował, to nie ominie pana awans na pomocnika asystenta sekretarza w mojej kancelarii. Tak trzymać!

Walenty był taki szczęśliwy.

Postanowił jakoś uczcić ten dzień. W zasadzie nie pijał alkoholu, bo wiedział, że to bardzo nierozsądne, tego dnia jednak postanowił zaszaleć i wybrał się do cukierni na kremówkę nasączoną prawdziwym rumem. I czy to sprawił rozgrzewający serce rum, czy też coś zupełnie innego – Walenty zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Panna Gienia prowadziła malutką cukiernię w suterenie kamienicy przy ulicy Marcepanowej 5. Była śliczną, pulchną kobietką, jej ramiona były białe jak lukier, policzki rumiane jak drożdżówki, a usta czerwone jak kandyzowane wisienki na torcie. Bardzo była smakowita.

Walenty pomyślał, że mógłby schrupać pannę Gienię, ale dobre wychowanie i honor urzędnika państwowego nie pozwoliły mu na to. A szkoda, bo tak by było dla niego o wiele lepiej.

Zamiast tego wynajął mieszkanie nad cukierenką i z dala obliżywał się na widok dziewczyny. Codziennie budził go zapach świeżych ciast i wesoły śpiew panny Gieni dochodzące z suterenu.

Jakież biedny smok cierpiał! Powinien zaproponować dziewczynie spacer nad rzeką, kolację we dwoje albo wspólne oglądanie marek pocztowych, ale, jak się już rzekło, na tak swobodne zachowanie nie pozwalało mu dobre wychowanie i honor urzędnika państwowego.

Zamiast tego, mijając swoją wybrankę na schodach, wstrzymywał oddech i patrzył sztywno przed siebie. Tak, że panna Gienia myślała sobie w duchu: Ależ dziwak...

Smok schudł, zmizerniał, poszarzał, ale od środka cały płonął. Trawiła go gorączka niespełnionej miłości.



Panna Gienia prowadziła malutką cukiernię w suterenie kamienicy przy ulicy Marcepanowej 5.